

TEATR AMATORSKI Nr 42.

NASZE BZIKI

FARSA W JEDNEJ ODSŁONIE

PRZEZ

HENRYKA PIĄTKOWSKIEGO

WYDANIE TRZECIE



WARSZAWA
NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1909



63199

OSOBY:

- WIRSKI. *Wojciech*
MADZIA, jego córka. *Lucyja Kozłowa*
DZIUBKIEWICZ. *Kampaniec*
TECZOKOLORSKI, impresjonista. *Szary*
IDZI PAZUR IDEALSKI, dekadent. *Kłosa Kozłowa*
ATANAZY KOSZONKO, medium. *Kecim*
GERTRUDA, ochmistrzyni w domu Wirskiego. *Panase*
SZELINSKI, doktor. *Gardina*

Rzecz dzieje się w dworku Wirskiego na wsi, niedaleko
Warszawy.

K-140/46/69550

Scena przedstawia salonik wiejski, w głębi drzwi parapetowe, przez które widać ganek, po lewej i po prawej stronie również drzwi. — Umeblowanie zwykłe, wśród którego jednak znajduje się kilka okrągłych stolików, z których jeden nakryty serwetą. - Zegar ścienny.

SCENA PIERWSZA.

WIRSKI, GERTRUDA, MADZIA

(Wirski przy jednym ze stolików, trzymając ołówek w ręku, Madzia i Gertruda stoją nad nim).

MADZIA.

Ojczulku!

WIRSKI.

Pss!

MADZIA *(z płaczem)*.

Ależ bo, ojczulku!

GERTRUDA.

Madziu, nie przeszkadzaj, widzisz przecie, że ojciec jest zajęty.

MADZIA *(j. w.)*.

Kiedy ja już dłużej nie wytrzymam.

GERTRUDA.

Wytrzymasz, wytrzymasz.

MADZIA.

Ach, ja nieszczęśliwa, co mi począć, z ojcem ani się dogadać.

GERTRUDA.

Widzisz przecie sama, że ojciec jest bardzo zajęty.

MADZIA.

Cóż to znowu za takie zajęcie! To staje się w końcu nie do wytrzymania. Tatko cały dzień albo kręci się przy stoliku, albo trzyma ołówek w rękę i chce, żeby on sam pisał, albo wymachuje rękami nad panem Atanazym... a o mnie to ani pomyśli (*ptacze*), a ja... przecież... jestem jego córka.

WIRSKI.

Ps... cicho tam... zaczyna pisać!

GERTRUDA.

Pisze? pisze, jak mamę kocham, coś pisze.

WIRSKI.

Nie przeszkadzać... niech pisze... daj mu, Boże, zdrowie... zaraz obaczymy.

GERTRUDA.

Ach! jak ten ołówek lata.

WIRSKI.

Ledwie z rąk nie wyskoczy. Kiedy, bo prze-

szkadzacie... już to z temi babami. No patrzcie. Przestał!

GERTRUDA.

Co, już przestał?

WIRSKI.

Aż mi ręka ścierpła.

MADZIA.

Jak nie miała ścierpnąć, kiedy tatko już dwie godziny tak siedzi.

WIRSKI

(*wstaje, prostuje się i naciera rękę*).

Albo się robi doświadczenia, albo nie. Obaczymy, co on też napisał.

MADZIA.

Kto «on?», jaki «on?» wszak to sam ojezulek pisze.

WIRSKI.

Oj, pusta ty głowo, kapuściana głowo! To skaranie Boskie mieć córkę i do tego jedynaczkę, która nie jest na wysokości zadania, która nie pojmuje ducha czasu, która nie odczuwa potrzeby studyów medyumistyczno-spirytystycznych.

GERTRUDA (*z zachwytem*).

Jak to się panu łatwo wymawia! Ja się wciąż uczę i nie mogę. Jużem sobie nadwreżyła szczęki i język przekąsiłam... te spirytualne... mumie... to najtrudniejsze.

WIRSKI.

Spirytystyczno-medyu.. uważaj tylko pani.. medyumistyczne.

GERTRUDA.

Uważam, ale to właśnie jum, jum mistyczne jest nie do zapamiętania.

MADZIA.

Niech pani sobie przypomni z Mikada: Yum-yum, to i będzie.

WIRSKI (*poważnie*).

Madziu! Upraszam, abys traktowała na seryo działalność swego ojca. Tu wcale niema operetki!

MADZIA.

Nie będę już. Ależ, tatko, tateczku, proszę mię choć trochę wysłuchać, ja mam coś ważnego do powiedzenia.

WIRSKI (*bierze papier*).

Później. Teraz nie mam czasu głupstwami twemi się zajmować (*przeogląda papier*). To nie do uwierzenia!

GERTRUDA.

Cóż napisał?

WIRSKI.

Skąd mu to przyszło, patrzcie (*czyta*). «Zupa rakowa, sztuka mięsa z chrzanem, szczupak po żydowsku...»

GERTRUDA.

Co? i szczupak po żydowsku.

WIRSKI.

Patrzaj pani sama, najwyraźniej: szczupak po żydowsku, prawda, że nadzwyczajne: «kurczęta z sałatą, sufle z czekolady... widzi pani.. z czekolady...»

GERTRUDA.

Ktoby tego mógł się spodziewać?

MADZIA.

Tatku, tatko chyba zapomniał, toć to jest zadysponowany przez tatka obiad dzisiejszy... słowo w słowo to samo.

WIRSKI (*poważnie*).

Przypuśćmy na chwilę, że tak jest, to niczego nie dowodzi, bo powiedzcie, skąd się mógł dowiedzieć o mojej dyspozycyi, «on!»

GERTRUDA.

Tak! skąd «on» mógł wiedzieć?

MADZIA.

Zawsze «on», co za «on?»

WIRSKI (*podnosi palec w górę*).

Duch! Sądzę, że mi uwierzysz, ty mały niedowiarku, gdy ci powiem, że miałem oczy zamknięte i anim się domyślał, co ten ołówek pisze. To są rzeczy nadzwyczajne, niezbadane (*chodzi po pokoju*). Bo albo pisze ta cząstka oderwana mojej istoty, mojej jaźni... coś w rodzaju drugiego «ja...», na którego jednak nie oddziaływam, albo duch! (*pauza*). Ach, żeby choć jedną ce

giełkę odwalić z tego tajemniczego gmachu niezbadanych objawów!

GERTRUDA.

Prawda, jak Boga kocham, prawda, żeby to pan naprzykład mógł tę jedną cegielkę oderwać, toby zawsze już było coś, jakaś malutka szparka, dziurka... możnaby przez nią spojrzeć.

WIRSKI.

Tak, panno Gertrudo, dziurki tej nam potrzeba. Oho! ona już jest, wylom zrobiony, ale cóż, taki malutki, ot tyci... cóż to znaczy wobec ogromu nieznanego tajemnic. Ale my, spirytyści, jesteśmy na stanowisku, wydrzemy z łona wszech tajemnicy te skarby ukryte.

GERTRUDA.

Co to wtedy będzie! Strach pomyśleć.

WIRSKI.

Straszne kataklizmy w świecie nauki, filozofii, chemii, astronomii, metempsychozy... straszne kataklizmy! Jakie będą zmiany, któż to teraz odgadnie... ale, że będą... ja w tem. Dość już naprzykład czwartego wymiaru (*chwytła za rękę Madzię i Gertrudę*). Wyobraźcie sobie na chwilę istoty czterowymiarowe, świat czterowymiarowy, no, jednym słowem, wszystko czterowymiarowe, co? wyobrażacie sobie (*chodzi z zapamiętanymi wielkimi krokami*).

GERTRUDA.

Ludzie czworonożni, świat czworonożny! Pan takie straszne rzeczy mówi.

WIRSKI (*zatrzymuje się*).

Albo eter! Gdy go zbadamy, wszystko się rozjaśni. Duch bowiem... to jest... jakby wam to wytłómaczyć, to jest coś... w czemś... co to takiego, niewiadomo, ale, że jest, to jest, gardło dam. Już, już dobieramy się do czwartego wymiaru, dobierzemy się po kolei do eteru... a potem!

GERTRUDA (*z przekonaniem*).

Stamtąd do duchów niedaleko.

WIRSKI.

I cobyście powiedziały, żebym to ja wszystko wynalazł. Ha! Co za sława! co za sława! Jak pomyślę, ilem ja drogiego czasu zmarnował, gospodarując na Wólce... Strata niepowetowana.

MADZIA.

Ojczulku, proszę choć o chwilę uwagi.

WIRSKI.

A! to ty? gadaj, tylko prędko.

MADZIA.

Mam już, proszę tatki, lat osiemnaście... ~~od dwóch lat noszę długie suknie.~~

WIRSKI.

Być może... nie wchodzę w to, no, więc cóż z tego, że nosisz już ogony?

*Justus paku
mój obrazek*

MADZIA.

Ojciec mi zawsze mawiał, że zadaniem kobiety jest wyjść za męża.

WIRSKI.

Mogłem to mówić, przyznaję, kończ już!

MADZIA.

Wczoraj... oświadczył się o moją rękę... pan...

WIRSKI (*zajęty ustawianiem stolika*).
Kto?

MADZIA.

Pan... pan... Zbigniew, proszę tatka.

WIRSKI (*j. w.*).

Co? ten nędzny eskulap ośmielił się?

MADZIA (*żywo*).

Niech ojczulek tak nie mówi. Pan Zbigniew doskonale leczy; jaką już ma praktykę!

WIRSKI.

To jest półgłówek, za którego nigdy ciebie nie wydam. Rozumiesz? Wybij to sobie z głowy.

MADZIA.

Ależ, ojczulku, ja go bardzo kocham!

WIRSKI (*schylony przy stole*).

Zabraniam ci w nim się kochać!

MADZIA.

On mnie także bardzo kocha.

WIRSKI (*j. w.*).

Zabraniam mu kochać się w tobie!

MADZIA.

Kochamy się oboje.

WIRSKI (*z głową pod stołem*).

Zabraniam wam obojgu kochać się w sobie.
Ostatnie moje słowo!

MADZIA (*placząc*).

Ja za nikogo innego nie wyjdę. Co on złego zrobił tatce?

WIRSKI

(*podnosi się, krzyżuje ręce na piersiach*).

Jakto? i ty pytasz? Ha! to znakomite! ona się pyta! Panno Gertrudo, ona się pyta, słyszy pani! Madziu, Madziu, gdzie ty masz głowę? Taki, który nie wierzy ani w stoliki, ani w duchy, ani... jednym słowem, w nic, dla którego czwarta noga... tfu... czwarty wymiar jest żonką matematyczną, nie dowiedziona, tak, jakby duchy nie dowodziły tego dostatecznie. I ty chcesz mieć takiego męża? Zastanów się tylko. Czemu ja jestem, jeżeli, jak mówi ów mądry doktor, duchy nie łączą się z nami za pomocą stolików, ja, który poświęcam wszystkie chwile mojego życia badaniu tych nadzwyczajnych objawów, ja, który z dumą mogę to wyznać, jestem autorem broszury: «Rady prakty-

czne dla stolarzy, wyrabiających stoliki spirytystyczne», ja, który wynalazłem stolik składany, przenośny, doskonały do podróży, gdyż można go zmieścić w kieszeni od palta... Czemże jest twój ojciec, pytam ciebie! osiel stary? cymbał? idyota? Jak możesz myśleć nawet o człowieku, który nie traktuje z należnym szacunkiem działalności mojej?

MADZIA.

To, co mówi pan Zbigniew, nie dotyczy tatki. To są zwykle ścierania się zdań; ma inne przekonania, polemizuje z tatkiem, nic więcej, jak mamę kocham, on bardzo szanuje i ceni ojczulka.

WIRSKI.

Obejdę się bez jego szacunku. To mąż nie dla ciebie. Teraz ścierają się nasze zdania, jak mówisz, a potem to on mnie gotów zetrzeć, oho, znam ja tych panów pozytywistów, co to, panie, nic dla niego świętego, gotów mnie jeszcze zetrzeć na proszek, żeby obaczyć, jak to wygląda szlachcic sproszkowany!

MADZIA.

Co też ojczulek mówi!

WIRSKI.

Już ja wiem, co mówię (*pausa*). Zresztą dajmy pokój! i tak zbyt długo gadamy o głupstwach. Gdzie jest moje medyum?

GERTRUDA.

Pan Koszonko? Przed godziną prosił mię

o przekąskę, napił się parę kieliszków starki, bo widzi pan, ja stosownie do pańskich rozkazów niczego mu nie skąpię. Zakąsił szyneczka.

WIRSKI.

Biedactwo! No i cóż?

GERTRUDA.

A no, położył się na kanapie w gabinecie pańskim.

WIRSKI.

Biedactwo (*słychać chrapanie*). Słyszycie, jaki ma sen lekki.

MADZIA.

Śni mu się pewnie wczorajsza kolacya lub obiad dzisiejszy.

WIRSKI.

Pozioma istoto! Atanazy, jako medyum, i to znakomite, zaręczam wam, jest na innych prawach. Tobie się zdaje, że on je... prawda?

MADZIA.

Je, pije i śpi po całych dniach.

WIRSKI.

Właśnie. Tobie się zdaje, że on je, pije, śpi — i na tem koniec. Otóż właśnie, że nie. On ciągle się uduchawia. W nim leży siła magnetyczna, która nim kieruje, której jest pełen...

MADZIA.

Oj, że pełen, to pełen. Tylko, czy to aby

wyjdzie mu na dobre takie zbyteczne napelnianie się od rana do nocy. Ja się boję.

WIRSKI.

Nie bój się. Napelnia go siła ducha, a cóż to jest? eter, nic więcej, czyściutki eter... a w eterze, jak wiesz pewno, niema pierwiastków organicznych.

GERTRUDA.

Ech, muszą chyba być, bo, gdy pan Koszonko śpi i chrapie, to jakby, nie przymierzając, grało co na organach.

WIRSKI (*uderza się dłonią o czoło*).

Obiad jeszcze nie gotów, wszak prawda?

GERTRUDA.

Pan kazał podawać dopiero o piątej, czeka pan na tych dwóch panów...

WIRSKI (*zaciiera ręce*).

Tak, tak, przyjdą dwaj panowie (*patrzy na zegar*). O! mamy dość czasu, więc, jak myślicie? możebyśmy usiedli przy stoliku. Co?

MADZIA (*na str.*).

Ach, Boże, Boże, to rozpacz! a tu lada chwila przyjdzie pan Zbigniew, mówił, że o czwartej. Co robić (*namyśla się*).

WIRSKI.

No i cóż? Siadamy?

MADZIA (*uradowana — na str.*).

Mam ją... doskonała myśl (*głośno*). Siadajmy więc (*siadają we troje przy stoliku, łącząc swe ręce końcami palców*).

WIRSKI (*z powagą*).

Duchu... jesteś? (*stolik stuka nóżką*). Jest. To dobrze. Teraz cicho — sza. Licz ty, Madziu, uderzenia, a ja będę sprawdzał na alfabecie (*siedzą cicho w milczeniu*). Panno Gertrudo, zapytaj pani o cokolwiek.

GERTRUDA.

Kiedy to tak trudno... (*po cichu*). Jak się panu spało...

WIRSKI.

Ale cóż znowu, tak się nie pyta! Do ducha nie mówi się pan, i zresztą, czyż duch spać może?

MADZIA.

A pan Atanazy?

WIRSKI.

Toć przecie medyum tylko, człowiek, a człowiek, choćby był nawet medyum, podlega zwykłym słabościom ciała, którym duch nie podlega. Sam zapytam. (*Poważnie schyla się nad blatem stołu*). Duchu! powiedz, co nam się dziś przytrafi (*stół kręci się*). Cicho... (*mówi pomatu, patrząc na alfabet*:) «Przyj... dzie... do wa... szego domu o czwar... tej go... dzinie mło... dy czło... wiek» (*uradowany*). Przyjdzie do waszego domu młody człowiek... Cicho... znów stuka, słuchajmy... «przyj... mij... cie go... z ot... war... temi... rę... kami... gdyż...»

on, jest... z wo... li... mo... jej... prze... zna... czony,
na... mę... ża...»

GERTRUDA.

Boże! co słyszę, na męża... o duchu! stukaj,
wystukaj dalej... na czyjego męża?

WIRSKI.

Panno Gertrudo, umityguj się pani, to panie,
nie żarty, chwila stanowcza, ważna chwila, uwa-
żajcie. Tak dokładnie woli swojej żaden duch
nie okazywał, to dzięki mojego wynalazku stol-
likowi (*stolik się porusza*). Słuchajcie... «na... mę...
ża... — no, to już było, powtarza się nieborak! —
d... d... dla... Ma... dzi!» (*zrywa się i zaczyna ści-
skać Madzię*). Madziu, Madziu, masz męża!

MADZIA.

Widzi tatko, duch nawet mnie swata.

WIRSKI.

Córko! w moje ramiona! Nie wiem, kim jest
ów przeznaczony z nieba, bo że z nieba, to
z nieba, ale już go kocham ojcowską miłością!
Stolik mi go oznajmił, Madzi męża stolik wy-
pukał! Co za radość, jakie wzniosłe ten stolik
spełnia zadanie (*staje przed Madzią, wzięwszy się
pod boki*). I ty śmiesz jeszcze wątpić w siłę ma-
gnetyzmu?

MADZIA.

O nie, tatusiu! (*głaszcze stolik*). Pocziwy, ko-
chany stoliczek (*na str.*). Udało mi się, byleby
tylko Zbigniew się nie spóźnił.

WIRSKI.

Nadzwyczajne! (*woła na cały głos*). Panie
Atanazy, panie Atanazy!

(*Z pokoju na prawo, ziewając i przeciągając się,
wchodzi zaspany Atanazy*).

SCENA DRUGA.

CIŻ *sami* i ATANAZY.

ATANAZY.

Co to? Co się stało? Pali się? (*ziewa*).

WIRSKI (*prowadzi go do stolika*).

Chodź tu, drogi mój współpracowniku, po-
dzielę się z tobą radością. Duch, zamknięty
w tym oto stole... w tym tu — jak mi Bóg
miły — przemówił.

ATANAZY.

Czy tylko to? To taka rzecz powszednia,
to mnie wcale nie dziwi. Wiadomo przecie: sto-
liki są na to, żeby się kręciły, a duchy, aby
w nich siedziały (*ziewa*).

WIRSKI.

No tak, to też i mnie to wcale nie dziwi,
ale uważaj no tylko, co też on powiedział, wy-
pukał najwyraźniej, Madzia i panna Gertruda
mogą zaświadczyć, że dziś zjawi się młodzieniec.

ATANAZY (*niespokojnie*).

Może inne medyum, broń, Boże! Panie Wirski, ja to sobie zastrzegłem w kontrakcie, ja innego medyum przy sobie nie znośe, oh nie, panie!

MADZIA (*na str.*).

I spiżarnia nasza nie zniosłaby dwóch takich medyków. Objedliby nas ze szczętem.

WIRSKI.

Nie lękaj się, Atanazy, ten młody człowiek, który tu przybędzie o czwartej... wszak tak?

MADZIA.

Powiedział, punkt o czwartej (*na str.*). Ach! żeby się Zbigniew nie spóźnił.

WIRSKI.

Otóż, że o czwartej zjawi się przyszły mąż Madzi, protegowany przez ducha.

MADZIA.

Tak, tak, panie Koszonko, protegowany przez samego ducha...

ATANAZY (*przerywając*).

Przepraszam państwa (*do Gertrudy*). Panno Gertrudo, mdli mnie.

GERTRUDA.

Wiśniaczek czy stareczka, czy może kimmel?

ATANAZY.

Jeżeli łaska, to stareczka (*do Wirskiego*). Pan nie wyobrazi sobie, jak ten spirytyzm sprawia mi ciągle pragnienie.

(*Gertruda wychodzi*).

WIRSKI (*rozrzuwiony*).

Biedaczek, ale, bo pan jest wyjątkowe medyum.

ATANAZY.

Daję panu słowo, takiego medyum nie znajdziesz pan na sto mil. (*Klepie się po ciele*). Patrz pan tylko.

(*Gertruda wnosi wódkę*).

WIRSKI (*chodzi uradowany*).

Ha! cóż robić, trzeba słuchać wyższej woli! Poczekamy sobie do czwartej... bije czwarta (*zacierą ręce*) pęc! drzwi się otwierają, wchodzi nieznany młodzieniec. Padamy sobie w objęcia. Zięciu! oto twoja narzeczona, mówię mu, dajcie sobie buzi...

GERTRUDA.

Co, tak odrazu! Fe! tak przy wszystkich?

WIRSKI.

A pani może chciała, żeby na osobności. Ej! panno Gertrudo.

GERTRUDA.

Co też pan mówi. Nie myślałam tego.

WIRSKI.

Dają sobie panie buzi z dubeltówki — dobrze jest...

ATANAZY (*przerzywa*).

Idziemy na obiad, pijemy zdrowie państwa młodych, wie pan, tem winem, tem, wie pan, z 1841 roku.

WIRSKI.

A jakże, pijemy ich zdrowie... dają na zapowiedzie i... weselisko.

MADZIA.

Potańczymy, ojczulku?

WIRSKI.

Oho! i jak! wszyscy będziemy tańczyć.

ATANAZY

(*który wypił już parę kieliszków*).

Doskonała starka (*znowu pije*). Czy pan jesteś pewien tego ducha, który wolę swą objawił.

WIRSKI.

O, najzupełniej. To duch znany mi oddawna, duch opiekuńczy naszego domu. Nazywa się Buterbrot, sam to kiedyś wystukał. Jest to duch pewnego Amerykanina, który zmarł w 1853 r. w Akwizgranie na żółtą febrę, sam to wypukał, słowo daję. Ja się, panie, znam na tem, już mię tam żaden stolik w pole nie wyprowadzi. Prawdziwego ducha poznam o wiorstę.

ATANAZY.

I ja ich czuję doskonale. Tyle ich już przeżmnie przeszło. Zresztą jestem medyum, bliższe są mi one, niż komu innemu. Pan może czuć ich obecność w stole, przy sobie, nad sobą — a ja mam go w sobie, ot tu. Ego sum spiritus.

GERTRUDA (*podbiega*).

Spirytusu? Jest.

WIRSKI (*śmiejąc się*).

Nie o tym spirytusie medyum mówi.

ATANAZY.

Ależ i owszem, mogę i o tym, jeżeli pani łaskawa. (*Pije kieliszek*).

WIRSKI.

O moje dzieci, co za dzień wspaniały, Ach! zapomniałem, wszakże będziemy mieli na obiedzie dwóch znakomitych ludzi. Powiadam wam, znakomici, co się nazywa.

MADZIA.

Skądże ojculek wie, że tacy bardzo znakomici?

WIRSKI.

Jakże. Sami mi to mówili. Przybędą o piętej, w godzinę akurat po twoim narzeczonym.

MADZIA (*lekliwie*).

A może on się spóźni cokolwiek.

WIRSKI.

Duchy się nie mylą, czasami klamią umyślnie, ale to tylko złośliwe duchy, nasz Buter-brot do nich nie należy. Madziu, zanotuj sobie dzień dzisiejszy! Idę się przebrać (*wychodzi*).

SCENA TRZECIA.

MADZIA, GERTRUDA, ATANAZY.

ATANAZY.

Jeszcze półtorej godziny do obiadu!

MADZIA.

Radziłabym cokolwiek przekąsić i zdrzemać się, pokrzepić ducha (*całuje Gertrudę*). Ach, panno Gertrudo! leczę przebrać się w nową sukienkę na spotkanie narzeczonego (*wybiega*).

SCENA CZWARTA.

ATANAZY, GERTRUDA.

ATANAZY (*patrząc czule*).

Panno Gertrudo!

GERTRUDA (*skromnie*).

Panie Atanazy!

ATANAZY.

Czy się pani domyślasz, co mi już oddawna leży na sercu... że... że... kocham panią!

GERTRUDA (*ze spuszczonei oczami*).

Poniekąd.

ATANAZY (*chwytając ją w objęcia*).

O, ty moja!

GERTRUDA (*wyrywa się*).

Panie Koszonko, panie Atanazy, może kto nadejść, nie ściskaj mnie pan tak gwałtownie, jam bezbronna, słaba kobieta. Puść mię pan, ja się pana boję!

ATANAZY (*cofa się o krok*).

Pani się mię boi? Wszak twój Atanazy nie jest w stanie krzywdy ci żadnej wyrządzić.

GERTRUDA (*zakrywa twarz rękoma*).

Ja się pana boję, bo pan jesteś... medyum.

ATANAZY (*ogląda się bojaźliwie*).

Nikogo niema. Mogę pani całą prawdę powiedzieć. Ja nie jestem wcale żadne medyum.

GERTRUDA.

Co pan mówisz?

ATANAZY.

Posłuchaj mię pani. Do roli, którą tu odgrywam, zmusił mię los... ciężki los. Kiedyś... et! dawno już temu, miałem nieco grosza po rodzicach. Niedługo to trwało... żyło się trochę... pani to rozumie — i wio! fortunę dyabli wzięli! Zo-

stałem bez środków, o miejsce trudno, przytem do pracy nie byłem przyzwyczajony. Przebiedowałem lat kilka, w końcu znalazłem się w Warszawie. Ale i tu nie mogłem sobie dać rady. Już chciałem się wieszać.

GERTRUDA (*z współczuciem*).

Biedny.

ATANAZY.

Jednego dnia jadę ja sobie w tramwaju, a że, jak pani wie, skłonny jestem do snu, zasnąłem. Naraz ciągnie mnie ktoś za rękaw, otwieram oczy, stoi nade mną jakiś szlagon. «Czy to już Muranów» — pytam. «Nie» — odpowiada mi — «to dopiero ulica Długa. Masz pan chwilę czasu? Chcę panu zaproponować dobry interes». »Jaki interes?» pytam ledwie rozbudzony. «Zajdźmy do handelku — mówi — to panu wyjaśnię». Oho, do handelku! myślę sobie, obudziłem się i idę. Otóż ów jegomość był to pan Wirski.

GERTRUDA.

To był pan Wirski! patrzcie! No i cóż dalej?

ATANAZY.

U kupca, na rogu, rozgadaliśmy się. Powiedział mi na wstępie, że jest spirytystą, ja wtedy niewiele co zrozumiałem, ale słucham i myślę, do czego on też dąży. Otóż w końcu dowiedziałem się, że dla jego doświadczeń na wsi potrzebne jest medyum stałe, i proponuje mi tę posadę. Nie słyszałem nigdy o takiej posadzie, ale, myślę sobie, gorzej mi tam chyba nie będzie.

Zgadzam się, umawiamy się o warunki: pensya, ordynarya, opał, światło, opierunek... słowem, zupełne utrzymanie. Zapijamy tę sprawę, i ja dopiero wtedy pytam, dlaczego on mnie właściwie wybrał na owe medyum, a on powiada, że, siedząc naprzeciw mnie w tramwaju, dalibóg nie zauważyłem, wpatrywał się we mnie hypnotycznie i, ja zaraz usnąłem. Przytrafiło mu się to po raz pierwszy w życiu, on z tego doszedł do wniosku, że muszę być doskonale medyum. «Będziesz spał — mówi do mnie — jak ja zacznę się w ciebie wpatrywać i robić nad tobą passy, to znaczy wymachiwać rękami». Ja, coprawda, sypiać lubię, służba, jakby stworzona dla mnie. Resztę pani wiesz, panno Gertrudo, gdyż pierwszą osobą, którą tu spotkałem, byłaś ty, pani.

GERTRUDA.

Więc pan naprawdę nie jesteś medyum?

ATANAZY.

Przysięgam na honor!

GERTRUDA.

I w swoich snach nie miewasz pan styczności z siłami nadprzyrodzonymi?

ATANAZY.

Jak słyszę przez sen, o co mnie stary pyta, to mu odpowiadam, co mi ślina na język przyniesie, czasem to stękam, jak potępieniec, a często to tylko chrapię.

GERTRUDA.

Atanazy, jam twoja!

ATANAZY.

O, skarbie drogi! Pobierzemy się, nieprawda?

GERTRUDA.

Jakże pan chciał inaczej?

ATANAZY.

Ależ tak! pobierzemy się, kupimy sobie domek z ogródkiem, pasyami lubię ogródki — w Warszawie tom ciągle bywał w ogródkach!

GERTRUDA.

Ja, przyznam ci się, mam u pana Wirskiego na procencie parę tysiączków. Będziemy trzymać krowy, drób, sadzić kartofle, marchew...

ATANAZY (*przerywa*).

Kalafiory... ach, jak ja lubię kalafiory — szpinak, rzodkiewkę... z maselkiem...

GERTRUDA.

Będziemy żyli, jak w raj.

ATANAZY.

Jak dwa anioły, prawda, jak dwa aniolki.
(*ściska ją. — wbiega Madzia*).

SCENA PIĄTA.

CIŻ *sami* i MADZIA.

MADZIA.

Co to? Panna Gertruda i pan Koszonko?
A, przepraszam.

GERTRUDA.

Ach, moja Madziu, jakem ja szczęśliwa!

MADZIA.

Co? pani? (*wskazuje na Atanazego — Gertruda kiwa głową*). No, to błogosławie.
(*Atanazy i Gertruda, trzymając się za ręce, wychodzą*).

SCENA SZÓSTA.

MADZIA *samą* (*patrzac na zegar*).

Już czwarta dochodzi. Ach, jak mi serce bije i z radości, i ze strachu. Byleby ten nieznośny Zbigniew przyszedł w porę. Onby już powinien być tutaj (*otwiera drzwi na ganek i staje w nich*). Idzie, już idzie! chwała Bogu. (*Po chwili*). Co to? To nie on. Któż to być może? idzie wprost na ganek, ktoś nieznamy (*cofa się do pokoju*). A tożem sobie piwa naważyła! Co ja pocznę?
(*Wchodzi Dziubkiewicz, który ma pod pachą tekę, z napisem «Musik», hantle w lewej ręce, dwa rapiery i parę lekkich wiosel, prawą prowadzi rower, wszedłszy, stawia pod ścianą rower*).

SCENA SIÓDMA.

MADZIA, DZIUBKIEWICZ.

DZIUBKIEWICZ

(*kicha — spadają mu binokle*).

Przepraszam, katar (*kicha*). Gdy te binokle zlecą z nosa, jak Bożę kocham, nic nie widzę, jestem krótkowidz. (*Wkłada binokle i wtedy dopiero kłania się*). Dziubkiewicz. Stefcio Dziubkiewicz, mnie wszyscy nazywają Stefcio, to i ja tak siebie zacząłem nazywać. Jak Bożę kocham, wszyscy, nawet pani Pomidorska... Pani ją zna? Nie? (*odchrząkuje*). Jabym chciał..

(*Madzia przerywa mu gestem, bierze krzesło, stawia je pod zegarem, wskakuje na nie i przekreśla wskazówki zegara. Podbiega następnie do Dziubkiewicza*).

MADZIA.

Dobrze, żem przypomniała sobie. Masz pan zegarek?

DZIUBKIEWICZ (*cofa się*).

Ja?... ja... m... am... a jakże, ale... srebrny.

MADZIA (*gwaltownie*).

Daj mi go pan, na miłość Boga.

DZIUBKIEWICZ.

Pani? mam dać zegarek?

MADZIA.

Spiesz się pan, to ważna rzecz, to kwestya życia lub śmierci.

DZIUBKIEWICZ (*blagalnie*).

Ja mam, proszę pani, jeden tylko zegarek... i to pamiątka. Dała mi go pani Pomidorska na pamiątkę (*na str.*). Pawlak w spódnicy!

MADZIA.

Co mię pani Pomidorska obchodzi! Na rany Boskie, daj mi pan zegarek na chwilę. Boisz się pan, że go zatrzymam? (*Dziubkiewicz kiwa głową*). To postaw pan przynajmniej skazówki na wpół do czwartej, cofnij je pan, mój panie, proszę, błagam, tu idzie o szczęście dwojga istot (*na str.*). Może nareszcie Zbigniew nadejdzie.

DZIUBKIEWICZ.

Chee pani koniecznie, dobrze (*nakreca zegarek*). Czy tak? Jeżeli taki gwałt, robię to poświęcenie, chociaż był regulowany dziś jeszcze na kolei, jak Bożę kocham, pani nie wierzy? (*po chwili*). No, teraz dogodziłem, postawiłem na szóstą.

MADZIA.

Mnie właśnie potrzeba, żeby było wcześniej.

DZIUBKIEWICZ.

Niech pani się zdaje, że na moim zegarku dopiero szósta rano (*po chwili*). Czy to u pani dziedziczne?

MADZIA.

Co?

DZIUBKIEWICZ (*robi ruch nakręcania*).
Ten... kręcik...

MADZIA (*smutnie*).

Pan nic nie wiesz.

DZIUBKIEWICZ (*na str.*).

Zajączek.

MADZIA.

Pan jesteś zapewne jednym z owych dwóch znakomitych ludzi?

DZIUBKIEWICZ (*na str.*).

Nowy szust. (*Głośno, potakująco*). O tak, jestem bardzo znakomity, jeden z najznakomitszych...

MADZIA.

Czy panu nie wstyd mieć takie o sobie wygórowane pojęcie. To dowód dziwnej zarozumiałości. Któż mówi o sobie, że jest znakomitym?

DZIUBKIEWICZ.

Ależ ja to mówię, żeby pani zrobić przyjemność.

MADZIA.

To mi wcale nie sprawia przyjemności, tak jak pani Pomidorskiej zapewne.

DZIUBKIEWICZ.

Ja z zasady nie sprzeczam się z osobami, które mają... manie.

MADZIA (*obrażona*).

Co? ja mam mieć manię? Pan jesteś imperyent..

DZIUBKIEWICZ.

Och, źle! Mania furiosa, jak Bożię Kocham.

MADZIA.

Co za okropnych ludzi ojciec zaprasza (*ta-
mie ręce*).

DZIUBKIEWICZ (*na str.*).

Patrzcie, jest i ojciec, wkrótce zapewne poznam całą rodzinę furiozów (*do Madzi*). To pani ma ojca?

MADZIA.

Dziwię się, że to pana może zadziwiać. A jakże inaczej?

DZIUBKIEWICZ.

Tak, tak, bez wątpienia, nie może być inaczej, naturalna konieczność, czy tam konieczna naturalność.

MADZIA.

Tatko, to ten pan, który pana i pańskiego przyjaciela, wczoraj w Warszawie, zaprosił do nas na dzisiejszy obiad. No, pan Wirski.

DZIUBKIEWICZ.

Aha, pan Wirski. Bardzo mi przyjemnie, je-

stem więc tu u pana Wirskiego. Poproszę panią przedstawić mnie szanownemu papie.

MADZIA.

A przecież pan go znasz?

DZIUBKIEWICZ.

Ja? cóż znowu, wcale go nie znam.

MADZIA.

Jakże... widziałeś go pan wczoraj, spotkaliście się gdzieś w Warszawie.

DZIUBKIEWICZ.

Możem go i spotkał, możem nawet i widział, ale, nie mając przyjemności znać go, nie mogłem żadną miarą wiedzieć, że to on właśnie.

MADZIA.

Więc pan nie jesteś zaproszony do nas na obiad?

DZIUBKIEWICZ.

Jak Bożię kocham, nie.

MADZIA.

Więc pan nie jesteś ów znakomity człowiek.

DZIUBKIEWICZ.

Z ręką na sercu śmiało odpowiadam, nie, ja nie jestem znakomity człowiek.

MADZIA.

Któż pan jesteś, w takim razie?

DZIUBKIEWICZ.

Dziubkiewicz, Stefcio Dziubkiewicz, Stefcio, tak mnie wszyscy nazywają...

MADZIA (*znieczierpliwiona*).

Nawet pani Pomidorska.

DZIUBKIEWICZ.

A... tak, nawet pani Pomidorska, jak bożię kocham.

MADZIA.

Czy pan ma do nas jaki interes?

DZIUBKIEWICZ.

Mam, bardzo ważny. Czytałem w Kuryerze że tu, w Wólce, jest do wynajęcia letnie mieszkanie... chciałem obaczyć, gdyż... widzi pani, ja się strasznie kocham..

MADZIA.

Co? Może we mnie?

DZIUBKIEWICZ (*na str.*).

Znowu szust!

MADZIA.

Bo, jeżeli we mnie, to uprzedzam, że z tego nic nie będzie.

DZIUBKIEWICZ.

Kocham panią Pomidorską.

MADZIA (*klaszcze w dłonie*).

Ach, jak to dobrze. Ja muszę pana uprzecznić, że mój ojciec będzie żądać, abys się pan ze mną ożenił.

DZIUBKIEWICZ (*łapie się za głowę*).

Ćwiczek rodzinny.

MADZIA.

Ale to nic. Trzymaj się pan tylko, nie zgadzaj się żadną miarą... powiedz mu, że kochasz panią Pomidorską, żeś się z nią nawet zaręczył. Pamiętaj pan, com mówiła. Trzymaj się, bo inaczej wynikną straszne tragedye. Słyszę czyjes kroki, pewnie tatko. Uciekam, żeby mię z panem nie zastał (*wybiega*).

SCENA ÓSMA.

DZIUBKIEWICZ *sam*.

Możeby dać nura? póki czas, a to istny dom waryatów. Panienska niczego, ale ma ćwiczka, o! że ma, to ma, jak Bożię kocham, obaczę, czy zdążę na pociąg (*wyciąga zegarek*). Tam do licha, zegarek nie idzie (*stucha*) stoi, musiałem przekręcić sprężynę. Nie! stanowczo, u tych ludzi nie najmę mieszkania (*zbiera porozrzucane swoje rzeczy i chce wyjść — wchodzi Atanazy*).

SCENA DZIEWIĄTA.

DZIUBKIEWICZ, ATANAZY.

ATANAZY (*tajemniczo przystępuje*).

Pan jesteś prawdopodobnie nowe medyum.

DZIUBKIEWICZ.

W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego, czego pan chces ode mnie?

ATANAZY

(*dotyka się do piersi, ręk i nóg Dziubkiewicza*).

Blady taki, że aż siny, piersi zapadłe, szyjka, jak u gęsi, nogi, jak patyczki... ładny lalusz, niema co mówić. Paneś się pewnie trenował na medyum?

DZIUBKIEWICZ.

Panie! Ja będę krzyczeć, czego pan chcesz?

ATANAZY (*konfidencyjnalnie*).

Mam podejrzenie, że mój stary jeździł wczoraj do Warszawy po nowe medyum. Otóż, jeżeli wykopał sobie pana, to uprzedzam, że ja tu jestem od roku na tem stanowisku i nie pozwolę... słyszy pan, nie pozwolę, by mię stąd kto wyforyrował! Patrz pan na mnie, zdaje się, mam trochę siły? kości połamię!

DZIUBKIEWICZ.

Jesteś pan źle wychowany kolos.

ATANAZY.

To mi wszystko jedno, a teraz, kiedym pana uprzecznił wcześniej, klaniam uniżenie (*odchodzi, lecz przy drzwiach odwraca się*). Kości połamię! (*wychodzi*).

SCENA DZIESIĄTA.

DZIUBKIEWICZ, IDEALSKI, TĘCZOKOLORSKI.

DZIUBKIEWICZ.

A tom wdepnął! Aj! Stefku, przyjacielu, zmykaj, bo zginiesz, jak ruda mysz. Stanowczo nie najmę tu letniego mieszkania! *(zbiera rzeczy).*

(Drzwi od ganku otwierają się i wchodzi Idealski, małego wzrostu, z bardzo długimi włosami i w szerokim kapeluszu. Ma pod pachą stos książek. Przechodzi pomatu przez scenę, siada na krześle i wpada w zadumę, siedząc następnie bez ruchu i w milczeniu. Wchodzi następnie Tęczokolorski, ubrany, jak turysta, ma na plecach zawiniątko, w którym wi- dać garnki z farbami, pendzle, paletę, sztalugę: blejtramy trzyma w ręku).

TĘCZOKOLORSKI *(na str.)*.

Zapewne synek?

DZIUBKIEWICZ *(na str.)*.

Cóż to za egzemplarze?

TĘCZOKOLORSKI *(kłania się).*

Jestem Tęczokolorski. Nazwisko moje zapewne panu jest znane.

DZIUBKIEWICZ.

Tak... potrosze, ale niezupełnie, nie przypominam...

TĘCZOKOLORSKI.

Jakto? *(Staje przed Dziubkiewiczem z założonymi na piersiach rękami i krzyczy nad uchem)* Tęczokolorski!

DZIUBKIEWICZ *(przestraszony).*

Widzi pan dobrodziej, ja jestem taki krótkowidz, to jest, chciałem powiedzieć dystrakt, pamięci też nie mam nadzwyczajnej. Nazwisko znam, o! znam doskonale, ale właściwie nie wiem, z kim mam przyjemność.

TĘCZOKOLORSKI.

I jakże tu sztuka ma istnieć! Jestem z fachu impresjonista. Czy znasz pan impresjonizm?

DZIUBKIEWICZ.

Ratunku! Tego tylko brakowało.

TĘCZOKOLORSKI.

Nie bój się pan, nic złego nie zrobię.

DZIUBKIEWICZ.

Tu jakaś epidemia panuje, ja się boję, jak Bożę kocham! *(głośno)*. Czy pan dobrodziej od dawna cierpiący?

TĘCZOKOLORSKI.

Ależ ja jestem zdrow najzupełniej.

DZIUBKIEWICZ.

A dlaczego pan się pyta, czy ja znam, jak to pan powiedział... im... im...

TECZOKOLORSKI.

Wy tu, na wsi, nic nie wiecie. Wszak najwyraźniej powiedziałem: impresyonizm.

DZIUBKIEWICZ.

Toć słyszę. Ale właściwie, co pan przez to chcesz powiedzieć?

TECZOKOLORSKI.

Słuchaj pan uważnie. Impresyonizm wynalazł Manet.

DZIUBKIEWICZ (*potakując*).

Mane, tekel, fares.

TECZOKOLORSKI.

Źle mówię, rzeczywistym ojcem impresyonizmu jest Monet! o!

DZIUBKIEWICZ.

I to znam *times is money!*

TECZOKOLORSKI.

My, jako przedstawiciele, krzewiciele...

DZIUBKIEWICZ (*powtarza*).

Ciele... ciele.

TECZOKOLORSKI.

Sam pan jesteś ciele! My krzewimy impresyonizm na gruncie ojczystym, swojskim, aby regenerować sztukę, aby wyrwać ją z objęć okry, sienny i asfaltu!

DZIUBKIEWICZ.

Pan dobrodziej, widzę, woli beton.

TECZOKOLORSKI (*z gniewem*).

Nie beton, ale kobalt, panie, albo też ultramarinę.

DZIUBKIEWICZ.

Oho! że pan jesteś ultra, to ja odrazu poznałem, może szklaneczkę wody dla uspokojenia?

TECZOKOLORSKI.

Dziękuję. Widzę, że pan o niczem nie masz pojęcia. Ale idziemy dalej. Słyszałeś pan zapewne, że istnieje sztuka, zwana malarstwem. (*Wrzeszczy*) Słyszałeś, co?

DZIUBKIEWICZ.

A cóż to sobie pan myśli. Czy to ja dziki człowiek, czy co? Czy Syngalez jaki? Malarstwo! cha, cha, to doskonale! Rafael przecie, Rubens!

TECZOKOLORSKI (*zgrzyta*).

Przestań, na Boga, nie wymawiaj pan tych nazwisk! Wy jesteście jeszcze wszyscy z epoki kamiennej... Dość tego, nadużywasz pan mojej cierpliwości!

DZIUBKIEWICZ.

Przepraszam pana, ale muszę go opuścić, spóźnię się inaczej na pociąg.

TECZOKOLORSKI (*chwytając ją za kłapę*)

Jeszcze czas (*wpatruje się w niego*). Podoba mi się pańska maska!

DZIUBKIEWICZ (*obrażony*).

Maska? Ja, panie, nie noszę maski. Nie rozumiem właściwie, czego pan chcesz?

TECZOKOLORSKI.

Pragnę zrobić na panu eksperyment impresjonistyczny!

DZIUBKIEWICZ.

Dziękuję za łaskę. Ja, proszę pana, ani na eksperyment, ani na inne wiwisekcje się nie zgadzam, jestem nawet członkiem towarzystwa opieki nad zwierzętami, w testamencie zastrzegę, żeby mnie nie balsamowano.

TECZOKOLORSKI.

Każ się pan lepiej wypchać! Co za potworna ignorancja. My, ludzie naszego kierunku, nazywamy eksperymentem impresjonistycznym lub kolorystycznym, jak pan wolisz, namalowanie portretu. Rozumiesz pan teraz?

DZIUBKIEWICZ.

A, to co innego. Pan pragniesz namalować mój portret?

TECZOKOLORSKI (*rozkłada swe rzeczy*).

Tak, mój panie, widzę pana na żółto.

DZIUBKIEWICZ.

Na żółto?

TECZOKOLORSKI.

Symfonia żółta! Cudownie! Idea żółcizny ogarnia mię (*wykręca Dziubkiewicza na wszystkie strony*). Powiedz pan jaki trudny wyraz: transcendentalny.

DZIUBKIEWICZ.

Transcendentalny!

TECZOKOLORSKI.

Doskonale, głos pan masz żółty, odczułem pana odrazu, nie traćmy chwili czasu, siadaj pan.

DZIUBKIEWICZ

A płótno skąd pan weźmiesz?

TECZOKOLORSKI.

Płótno. Wszak tu jest jakie prześcieradło, serweta, firanki, wreszcie, choćby stare worki. Masz pan stare worki?

DZIUBKIEWICZ.

Jestem w tym domu po raz pierwszy.

TECZOKOLORSKI

(*zdziera ze stołu serwetę, kładzie na blejtram, objada świeczkami, stawia na staludze*).

Jest serweta. Niema, jak grube płótno, ale i serweta ujdzie. Im więcej supelków, tem więcej finezyi (*Dziubkiewicz siada, jak do fotografii*).

Ja, raz, panie, zamalowałem cały żagiel okrętu Wyobraziłem ocean w naturalnej wielkości..

DZIUBKIEWICZ (*łękliwie*).

Jaki ocean?

TECZOKOLORSKI.

Indyjski, panie! Bałwany były, panie, ot takie, trzeba wiedzieć, że ja jestem specjalista od bałwanów. Obaczy pan, jaki pan będziesz podobny (*maluje wciąż energicznie, maczając pędzle w garnki z farbą*).

IDEALSKI (*zaczyna krzyczeć, jak paw*).

Aoh! aoh! aoh!

DZIUBKIEWICZ

(*przelekniony, spada z krzesła*).

Czego on wrzeszczy, panie... może on ma wodowstręt?

TECZOKOLORSKI.

Siedź pan spokojnie, nie jestem migawkowym aparatem, abym pana mógł odtwarzać w ruchu (*do Idealskiego*). Czego chcesz?

IDEALSKI (*grobowo*).

Papieru!

DZIUBKIEWICZ (*ze strachem*).

Panie, może ten pan ma cholere?

TECZOKOLORSKI (*wyjmuje z teki papier*).

Na, masz (*Do Dziubkiewicza*). On teraz w na-

tchnieniu (*Idealski schylony, pisze na kolanie*). To jest, panie, ni mniej, ni więcej, tylko ów wielki Idzi Pazur Idealski, głowa naszych dekadentów. Tak, tak, panie.

DZIUBKIEWICZ (*na str.*).

Stefku! źle z tobą (*głośno*). Aż tak! no patrz pan, taki młody, a już dekadent, winszuję, i do tego Pazur! no! no!

TECZOKOLORSKI.

Geniusz, panie.

IDEALSKI (*podnosi rozmarzoną głowę*).

Czy mnie kto woła?

TECZOKOLORSKI.

Nie. Pisz, pisz, gromadź skarby (*pauza*).

DZIUBKIEWICZ.

No, jakże tam z portretem?

TECZOKOLORSKI.

Skończyłem (*wstaje i pokazuje namalowanego krokodyla*).

DZIUBKIEWICZ (*przestraszony*).

Ależ to nie ja! To krokodyl, widziałem takiego rychtyk w panopticum.

TECZOKOLORSKI (*dumnie*).

A widzi pan, co to jest nowa szkoła. Robimy wszystko uczuciem, odczuciem, wrażeniem! Cza-

sem prowadzi to nas za daleko, ot, jak teraz, aż na brzegi Nilu. Rozumiesz pan teraz impresjonizm?

DZIUBKIEWICZ.

Niezwykła rzecz.

TECZOKOLORSKI.

Panie... panie, ustąp pan, czuję, czuję chwilę toku natchnionego (*Porywa tekę z napisem Musik i maluje na niej gwałtownie, Dziubkiewicz chroni się za stół*). Sztuka dawna już przeszła, teraz, panie, elektryczność panuje wszechwładnie... malarstwo elektryczne... parowe...

DZIUBKIEWICZ.

Aha! Naksztalt kielbasek.

TECZOKOLORSKI.

Malarstwo elektryczne, telefoniczne, telepatyczne, fonograficzne, psychopatyczne, niebotyczne... Wiesz pan, jak ja teraz maluję? Algebraicznie, a za chwilę będę malować... kabalistycznie, tak, panie, kabalistycznie, to dla mnie wszystko jedno. Precz z tradycją, precz ze szkołą! Widzisz pan tę ścianę? jest biała, prawda? otóż mnie ona wydaje się różową i dlatego namaluję ją niebiesko! (*upada znużony na fotel*). Wyczerpałem się! Poproś pan gospodarza domu, może ten obiad, na który nas zaprosił, już gotów.

DZIUBKIEWICZ.

Panie, a mój obiecany portret?

TECZOKOLORSKI (*cichym głosem*).

Nie czuję już pana. Chwilowe wrażenie minęło, i teraz... nie byłbym pewien, czy w mojej wyobraźni pan jesteś na żółto, czy też na fioletowo (*wstaje*). Mam wilczy apetyt. Gdzież u dyabła ten Wirski? (*wychodzi na lewo*).

DZIUBKIEWICZ.

Uf! Bogu dzięki, będę mógł drapnąć. Póki noga mego życia, tfu! póki życia, moja noga tu nie pozostanie. Tworki! (*zbiera swoje rzeczy i wychodzi, zapomina jednak o rowerze*).

(*Ze drzwi na prawo wychodzi po małej chwili Wirski, rozgląda się, a nie spostrzegwszy Idealskiego w kącie, staje na środku*).

SCENA JEDENASTA.

WIRSKI i IDEALSKI (*milczący*).

WIRSKI.

Najwyraźniej słyszałem rozmowę, a tu nikogo w pokoju niema. Miałyżby duchy już w moim domu głośno rozmawiać? Kto wie? To byłoby wspaniałe, nieprawdaż? Prawdziwy dom spirytysty (*pauza*). A tom się zdrzemnął! (*bije czwartą*). Czwarta! godzina zapowiedziana. Maż Madzi jest już zapewne tam... (*nadstuchuje*) Jak mi honor miły, słyszę go, zbliża się (*drzwi z ganku się otwierają, uchodzi Dziubkiewicz*). Już jest!

SCENA DWUNASTA.

CIŻ *sami* i DZIUBKIEWICZ.

DZIUBKIEWICZ

(chwilę waha się, czy wejść).

Przepraszam najmocniej, zapomniałem maszyny *(bierze rower)*. Upadam do nóżek pana dobrodzieja.

WIRSKI.

I ty masz serce ukazać się i zniknąć! Młodzieńcze! pójdz w me objęcia *(ściska go prze-mocą)*. Bardzo mi się podobaasz.

DZIUBKIEWICZ.

Zbytek łaski.

WIRSKI

Czekałem na ciebie z niecierpliwością.

DZIUBKIEWICZ.

Skądże pan wiedział o moim przyjeździe?

WIRSKI.

Stolik mi ciebie wystukał, duch, duch poczciwego Buterbrota.

DZIUBKIEWICZ.

Duchy! Buterbroty, kanapki, butersznyty, co to wszystko znaczy? *(na str.)*. O, ten tatko to skończony mente kaptus.

WIRSKI *(ogląda go)*.

Ciała mógłbyś mieć trochę więcej, wyglądasz nadzwyczaj mizernie. Ale to nic, poprawisz się na wsi, utuczysz się. O! czekałem z niecierpliwością.

DZIUBKIEWICZ.

Pan mię najwyraźniej bierzesz za kogo innego.

WIRSKI

Ależ nie. O czwartej punkt miał się pojawić mój przyszy zięć, otóż czwarta — i ty wchodzisz. To o tobie była mowa, to widoczne. Daj pyska! Jakże ci na imię?

DZIUBKIEWICZ.

Stefcio Dziubkiewicz, tak mię wszyscy pie-szczą, jak Bożę kocham. Powiem panu wszystko, jak na spowiedzi. Kocham!

WIRSKI.

Patrzcie! już i kocha! serdeczne chłopczyko.

DZIUBKIEWICZ.

Ale nie pańską córkę. Jej nie kocham i nigdy kochać nie będę. To moje ostatnie słowo.

WIRSKI.

Ech! tak mówisz, pokochasz.

DZIUBKIEWICZ.

Nigdy. Ja kocham panią Pomidorską, śliczna wdówka, mówię panu, caceczko, ma sklep na

Podwalu. Co za oczy, a jaki gors! ot taki... a nóż, to tycia... lilipucia, jak Bozię Kocham. Minerva panie, Junona, o głowę wyższa ode mnie! Otóż, oświadczyłem się jej przed rokiem, a ona mi na to: pan jesteś takie chuchro, że jednym prztyczkiem powaliłabym pana na ziemię. Trzeba zmeźnić, nabrać tuszy. Jak nie będziesz takim zdechlakiem... to obaczmy. Tak powiedziała.

WIRSKI.

Rozumna jakaś kobieta.

DZIUBKIEWICZ.

O! ona nawet bardzo mądra. Wyszedłszy od niej, odrazu zapragnąłem należeć do wszystkich warszawskich towarzystw. Chciałem zostać cyklistą, lutnistą, wioślarzem i subjektem handlowym wyznania mojżeszowego. Myślę sobie: jak będę śpiewać, wzmocnię gardło, płuca; wiosłowanie potroi mi klatkę piersiową i mięśnie rąk, rower wygimnastykuje mi nogi... niech pan sobie wyobrazi, nie przyjęli mnie nigdzie.

WIRSKI.

Dlaczegoż to?

DZIUBKIEWICZ.

Już takie szczęście. W Lutni przekonano się, że nie mam wcale głosu. U cyklistów i wioślarzy zaśmieli się tylko, patrząc na mnie, a subjeccy również mnie przebalotowali, gdyż się okazało, iż nie jestem starozakonnym. Pozostało mi na pociechę jedno tylko towarzystwo homeo-

patyczne, ale na cóż ono mi się zdalo? Otóż, nie mogąc być ani «sympatycznym», ani «sprężystym», ani «dzielny», jestem obecnie potrójnym zulusiem!

WIRSKI.

Ja cię biorę za zięcia takim, jakim jesteś. Pomyśl tylko, wola duchów. Tu, widzisz, bratku, niema żartów z duchami.

DZIUBKIEWICZ.

Wyperswaduj pan to sobie. Kocham panią Pomidorską i gotów jestem na wszystko, aby stać się Herkulesem, tak, panie, będę Herkulesem, jak Bozię Kocham.

WIRSKI.

Cóż przyniosło cię w moje progi?

DZIUBKIEWICZ.

Chcę wynajęcia letniego mieszkania. Czytałem w Kurjerze: Las, staw i t. d. Chcąc się egzercytować w głosie, nogach i rękach, miałem zamiar wynająć... lubo teraz.. (*zrywa się nagle*). Czego pan na mnie tak patrzysz? czego pan robisz takie straszne oczy? może pan masz napady epilepsji... tego tylko brakowało.

WIRSKI (*przytrzymuje go*).

Ps... cicho (*robi rozmaite ruchy rękami*).

DZIUBKIEWICZ.

Gwałtu, puszczaj pan... pan jesteś waryat...

skończony waryat... (coraz ciszej — usypiając)
ja... nie wytrzymam... puszc... czaj...

WIRSKI (robi jeszcze kilka ruchów).

Usnął! Co za przepotężna siła... uspiłem go odrazu.

IDEALSKI

(zaczyna krzyczeć jak wpięro).

Aoh! aoh! aoh!

WIRSKI.

Co to jest? kto to? (spostrzega Idealskiego).
A, to pan, jesteś tu oddawna?

IDEALSKI.

Złanie się mego tchnienia z atmosferą izby pańskiej nastąpiło przed jedną-siódma częścią dwunastogodzinnego okresu.

WIRSKI.

Hm... hm... A przyjaciel?

IDEALSKI.

Mój znakomity przyjaciel zajmuje stołę kwadratową pańskiej podłogi i sześć stóp sześciennych przestrzeni powietrznej w innej części domowiska.

WIRSKI.

To prawdopodobnie oznaka, iż jest w innym pokoju.

IDEALSKI.

Ja tworzę zdanie dekadensko symboliczne.

Byłem w natchnieniu i słuchaj pan, com napisał (czytą wiersz).

Wśród szalejącej ciszy, bezbrzeżnej życia puszczy
Duch mój przykucnął, w amalgam śmierci ścięty,
Echem — co nieme, ginie, jak krwawe hasło tłuszczy,
Echem — co nieme kona — duch mój drga, rozpięty
Na skrzydłach ciszy! Chaos, nicosć wre w przestrzeni
Nim lilii białej w jaśni kwiat się zazieleni...

Gruzy piramid, Sfinks o startem czole,
Rzym! Z krwi rdza ruda, tygł alchemika,
W czarze robactwo, w basztach zamczysk — móle,
Ach! nie nie czuję — nie mię nie przenika,
Rwąc się ku niebom, tonę w otchłań cieni,
Jeden się tylko lilii kwiat rumieni!

Atom nadziei
W kurz zapomnienia
Prawem kolei
Ciagle się zmienia...

Kwiat lilii biały drga w purpurze.

Jasności mroki
I cieniów łuny
Zmarłej epoki
Bija pioruny...

Kwiat lilii biały gasi róże.

Depczę mą czaszkę, co u stóp mych płonie
Gorączką nerwów, Nirwany płomieniem.
Nie wiem, czy żyję, czym też już po zgonie?
I cisnę lilie z tęczy na mem łonie,
A ona, jak me serce, rozżarza się cieniem!

Ha! więc ów symbol wszechświatłości
Ma także zstąpić w kraj nicosći?
Jak to, co było i co będzie?
I nikt nie ujrzy w lilii białej
Miliony tonów tęczy całej
Po blaskach otchłań wszędzie?

WIRSKI.

Nic nie rozumiem, ale, swoją drogą, to musi

być ładne. Powiedz pan, dlaczego tak przeraźliwie krzyczysz, jakby, nie przymierzając, paw.

IDEALSKI.

To jest mój *leit-motif*, daję nim znak, że istnieje.

WIRSKI (*wola*).

Madziu! Atanazy! panno Gertrudo! chodźcie!

(*Wchodzą wszyscy i stają przed uspijonym*).

SCENA TRZYNASTA.

WSZYSCY.

WIRSKI.

Patrzcie. Uspilem tego młodzieńca jednym spojrzeniem, kilku ruchami.

GERTRUDA.

Jaką pan ma siłę!

WIRSKI.

Bo cóż to za medyum! Zapędził Atanazego w kozi róg.

ATANAZY.

Powiedziałem panu, że drugiego medyum nie ściępię. Dziękuję za służbę, odchodzę!

WIRSKI.

Ale dajże pokój. Cóż znowu, możecie pozostać obydwaj. Ciebie będę usypiał, dajmy na to, w poniedziałki, środy i piątki, a jego w inne dni tygodnia. To się ułoży.

ATANAZY.

Nie, stanowczo, nie będę panu służyć, jako medyum. Dziś zrobiliśmy sobie postanowienie z panną Gertrudą... pobierzemy się.

MADZIA.

Ja już nawet pobłogosławiłam, niech i ojczulek pobłogosławi.

WIRSKI.

Ależ z przyjemnością. Bardzo dobrana z was para (*oboje kłękają — Wirski błogosławi*). No, bądźcie szczęśliwi, ale zostańcie, nie puszczam was od siebie, bo, przyznam się, przywykłem już do was.

TECZOKOLORSKI (*trąca Dziubkiewicza*).

Ależ on śpi w najlepsze.

IDEALSKI.

Aoh! aoh! aoh!

WIRSKI.

Czego pan znowu się drzesz?

TECZOKOLORSKI.

Mój wielki przyjaciel okazuje w tej chwili swoje zadowolenie.

WIRSKI.

A teraz zapytamy moje nowe medyum (*pa tetycznie*). Czy śpisz?

DZIUBKIEWICZ (*przez sen*).

Pomidor!

WIRSKI.

Podziwiajcie! mówi i śpi, o, to wspaniała natura. Spójrz w przeszłość, w przestrzeń, co widzisz? Ja chcę.

DZIUBKIEWICZ (*j. w.*).

Pomidor.

TECZOKOLORSKI.

To wściekły amator pomidorów.

WIRSKI.

Skoncentruj swoje myśli... mów... co widzisz w świetle ducha. Każę ci!

DZIUBKIEWICZ (*j. w.*).

Pomidor.

WIRSKI.

Dziwne medyum. Pierwszy raz widzę. Potem będzie lepiej (*chce go obudzić*). Zbudź się, każę ci, zbudź się, no, wstawaj już (*po chwili*). Nie budzi się, co to znaczy? Atanazego budziłem odrazu.

ATANAZY.

A widzi pan, nowe sitko! to tak zawsze, masz pan pomidora.

GERTRUDA.

Jaki on blady.

MADZIA.

Istny trup, on pewno umarł.

TECZOKOLORSKI

(*przytyka flaszkę z terpentyną do nosa Dziubkiewicza*).

To silna terpentyna. Nie pomaga.

ATANAZY (*bierze Dziubkiewicza za rękę*).

Bezwładny! a lekkie to, jak piórko.

WIRSKI (*ze strachem*).

Zbudź się, każę ci, chcę tego, rozumiesz!

MADZIA.

On, ojezulku, umarł, jakie ręce sine.

TECZOKOLORSKI.

Paneś go wyprawil na tamten świat, panie Wirski. Skorzystam z pańskiej uprzejmości i namaluję studyum z nieboszczyka (*siada i maluje*).

IDEALSKI (*podchodzi do spiącego*).

Trup! Zieleń żabia występuje mu na policzki, robak gniazdo swe w jego wnętrznościach obiera, napelnia atmosferę rozkład i zgnilizna. Trup! trup! trup! Aoh! aoh! aoh! Prawda, że mi się udała improwizacya.

TECZOKOLORSKI.

Cudowna! Doszedłeś już do tego, że niema ani cienia średniówki i rymu. Sama kwintesencya poezyi. Brawo!

WIRSKI (*rwie sobie włosy*).

Na miłość Boską, obudźcie tego człowieka, on nie mógł umrzeć!

ATANAZY.

Tu trzeba zaśpiewać *De profundis*. Panno Gertrudo, mdli mnie!

(*Wchodzi Szeliński*).

WIRSKI.

Królestwo temu, kto go obudzi!

SCENA CZTERNASTA.

CIŻ *sami* i SZELIŃSKI.

MADZIA (*rzuca się ku niemu*).

Ach, jest zbawca!

WIRSKI.

Doktorze, obudź go, ocalisz mi życie!

SZELIŃSKI.

Słyszałem, że pan dajesz królestwo za obudzenie tego człowieka.

WIRSKI (*składa ręce*).

Dam, dam, wszystko, co zechcesz.

SZELIŃSKI (*bierze Madzię za rękę*).

Daj mi pan swą córkę, przysięgam, będę ją kochać całe życie.

MADZIA.

Oboje będziemy ciebie kochali, mój ojczulku.

WIRSKI.

Bierz już ją, bierz, ale obudź tego nieszczęśliwego.

(*Madzia rzuca się mu na szyję. — Szeliński budzi Dziubkiewicza*).

DZIUBKIEWICZ (*przeciera oczy*).

Gdzie jestem? (*poznaje wszystkich, zabiera rzeźbę i rzuca się ku drzwiom*). Ach, cała banda bzików! (*we drzwiach*). Adju państwu, nie obaczycie mnie tak prędko! (*zamyka drzwi gwałtownie*).

WIRSKI.

Straszny kamień spadł mi z serca (*ściska Szelińskiego*). Zięciu mój, jestem ci winien więcej, niżli życie.

TECZOKOLORSKI.

Zaprosiłeś pan nas wczoraj na obiad, a tu, widzę, o obiedzie nikt nie myśli.

WIRSKI.

Przepraszam, obiad musi być gotów. Madziu!

MADZIA.

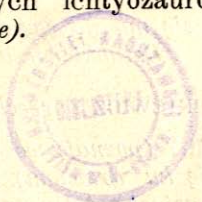
Zupa już czeka!

(*Wirski bierze pod rękę Tęczokolorskiego, Szeliński Madzię, Atanazy Gertrudę i parami wychodzą. Po-*

zostaje Idealski, który po chwili podnosi głowę i wstaje).

IDEALSKI.

Do mych uszów doleciały wyrazy... obiad... zupa... *(po namyśle)*. Ha! dążmy i my za tem stadem zgłodniałych ichtyozaurów! *(wychodzi w głębokiej zadumie)*.



ZASŁONA SPADA.

63/199

- Nr. 34. **Bzy kwitną**, kom. w 1 ak. Z. Przybylskiego. K: 2 — M: 1.
- Nr. 35. **Podstępem**, komedia w 1 akcie Własta. K: 4 — M: 3.
- Nr. 36. **Przyjaciół meża**, obrazek scen. w 1 akcie Z. Przybylskiego.
K: 3 — M: 3.
- Nr. 37. **Dzień w redakcyi**, obr. scen. w 1 akcie Z. Przybylskiego.
K: 4 — M: 10 — 3 chłopców.
- Nr. 38. **Post-festum**, kom. w 1 ak. E. Wicherta przeł. Z. Mellerowa
K: 7 — M: 5.
- Nr. 39. **Zjazd koleżeński**, kom. w 1 ak. Z. Przybylskiego. K: 7 — M: 7.
- Nr. 40. **List rekomendowany**, kom. w 1 ak. E. Labiche. K: 2 — M: 2.
- Nr. 41. **Przed ożenkiem**, obr. lud. w 1 akcie Wł. D. Gutowskiego.
ze śpiewami i tańcami. K: 7 — M: 6.
- Nr. 42. **Perełka**, obr. scen. przez Irenę M. (Nagoda) K: 5 — M: 4.
- Nr. 43. **Nasze bziki**, farsa w 1 akcie H. Piątkowskiego. K: 2 — M: 6.
- Nr. 44. **Mankiet**, fraszka scen. Ed. Lubowskiego. K: 1 — M: 2.
- Nr. 45. **Zmijka**, fraszka scen. S. Żyżkowskiego. K: 1 — M: 2.
- Nr. 46. **Fałszywe blaski**, kom. w 1 ak. Z. Mellerowej. K: 2 — M: 3.
- Nr. 47. **Portrety kochanka i meża**, komedyo-opera w 1 ak., tłum.
z franc. Dufлот et Desarbres. K: 1 — M: 2.
- Nr. 48. **Szarada**, obrazek w 1 akcie Ign. Grabowskiego. K: 3 — M: 4.
- Nr. 49. **Pokój zawarty**, kom. w 1 ak. Z. Przybylskiego. K: 3 — M: 2.
- Nr. 50. **Złością**, kom. w 1 akcie E. Pailleron'a. K: 2 — M: 2.
- Nr. 51. **Znawca kobiet**, kom. w 1 ak. Z. Przybylskiego. K: 4 — M: 4.
- Nr. 52. **Przyjaciół**, dram. w 1 ak. M. Praga, tłum. z włos. K: 1 — M: 2.
- Nr. 53. **W gabinecie doktora**, obrazek w 1 akcie W. Dolińskiego.
K: 3 — M: 6.
- Nr. 54. **We czworo**, kom. w 1 akcie M. Gawalęwicz. K: 3 — M: 6.
- Nr. 55. **Posażna jedynaczka**, kom. w 1 akcie J. A. Hr. Fredry.
K: 5 — M: 6.
- Nr. 56. **Consilium facultatis**, kom. w 1 akcie J. A. Hr. Fredry.
K: 3 — M: 5.
- Nr. 57. **Kto to?** Drobrostka w 1 odsł. E. Lubowskiego. K: 4 — M: 4.
- Nr. 58. **Debiutantka**, fraszka w 1 ak. Z. Przybylskiego. K: 2 — M: 3.
- Nr. 59. **Kusicielka**, kom. w 1 akcie Mosera, spolszczył J. Maszyński.
K: 2 — M: 3.
- Nr. 60. **Grajek**, obr. scen. w 1 akcie Z. Przybylskiego. K: 1 — M: 2.
- Nr. 61. **Fatalista**, krot. w 1 akcie T. Jaroszyńskiego. K: 2 — M: 3.
- Nr. 62. **Pafnucy i Narcyz**, kom. w 1 ak. p. Brissebare i Marc.-Michel.
K: 2 — M: 2.
- Nr. 63. **Pieśń przerwana**, obrazek scenicz. przez Elizę Orzeszkowa
i Zygmunta Przybylskiego. K: 2 — M: 3.
- Nr. 64. **Postanowienie**, kom. w 1 ak. p. Zofię Mellerową. K: 3 — K: 2.
- Nr. 65. **Wieczna bajka**, obrazek dramatyczny w 1 akcie A. Marka.
K: 2 — M: 2.
- Nr. 66. **Chłopi arystokraci**, szkic dram. w 1 akcie ze śpiewkami
Wł. L. Anczyca. Wyd. 6-te. K: 3 — M: 6.
- Nr. 66a. **Chłopi arystokraci**. Muzyka do śpiewu Wł. Rzepko.
- Nr. 67. **Łobzowanie**, obrazek dramatyczny w 1 akcie ze śpiewkami

21. 5. 76m 63199
- Nr. 67a. **Łobzowianie**. Muzyka do śpiewu Wł. Rzepko.
Wł. L. Anczyca K: 3 — M: 7.
- Nr. 68. **Błazek opętany**, krot. w 1 ak. ze śpiewami Wł. L. Anczyca.
K: 3 — M: 5.
- Nr. 68a. **Błazek opętany**, muzyka do śpiewu, ułożył Wł. Rzepko.
- Nr. 69. **Flisacy**, obr. lud. w 1 ak. ze śpiew. Wł. L. Anczyca. K: 2 — M: 6.
- Nr. 69a. **Flisacy**, muzyka do śpiewu Wł. Rzepko.
- Nr. 70. **Bzik mojej żony**, krot. w 1 akcie A. Marka. K: 3 — M: 2.
- Nr. 71. **Monologi i dyalogi** Część I przez Fr. Reinsteina.
- Nr. 72. **Monologi i dyalogi** > II > > >
- Nr. 73. **Monologi** Część I, przez Or-Ota.
- Nr. 74. **Monologi i deklamacje (z raptularza Zagłoby)** Część II, Or-Ota.
- Nr. 75. **Monologi i deklamacje staroświeckie** Część III, przez Or-Ota.
- Nr. 76. **Podróżnik**, obr. scen. w 1-ym akcie Okt. Feuilleta K: 2 — M: 4.
- Nr. 77. **Pierwsza miłość**, kom. w 1 akcie A. de Launay K: 3 — M: 1.
- Nr. 78. **Monologi i wiersze do deklamacji** Bożydara (E. Bogdanowicza).
- Nr. 79. **Gwiazdka błysnęła**, obrazek scenicz. w 1 odsłonie B. Gortczyńskiego. K: 3 — M: 2.
- Nr. 80. **Wywiad**. Farsa w 1 akcie Oktawiusza Mirbeau. Przekł. Tad. Jaroszyńskiego. M: 2.
- Nr. 81. **Ostatni kosz**, kom. w 1 odsłonie B. S. Herbaczewskiego. nagrodzona na konkursie Lwowskim. K: 2 — M: 2.
- Nr. 82. **Mgła**, kom. w 1 akcie Z. Przybylskiego, nagrodzona na konkursie Lwowskim. K: 2 — M: 2.
- Nr. 83. **Księżyc i słońce**, kom. w 1 ak. Z. Przybylskiego. K: 1 — M: 2.
- Nr. 84. **Antkowe wesele**, kom. w 1 ak. Z. Przybylskiego. K: 6 — M: 5.
- Nr. 85. **Wiosna**, kom. w 1 akcie Z. Przybylskiego. K: 2 — M: 3.
- Nr. 86. **Barkarola**, obrazek dram. w 1 odsłonie M. Gawalewicza.
K: 1 — M: 3.
- Nr. 87. **Preludium Szopena**, obrazek dramatyczny w 1 akcie M. Gawalewicza. K: 1 — M: 3.
- Nr. 88. **Lekcja deklamacji**, fraszka sceniczna w 1 odsłonie M. Gawalewicza. K: 1 — M: 1.
- Nr. 89. **Guzik**, komedia w 1 akcie M. Gawalewicza. K: 1 — M: 2.
- Nr. 90. **Dzisiejsi**, kom. w 1 akcie M. Gawalewicza. K: 1 — M: 2.
- Nr. 91. **Z rozpaczy**. Humoreska sceniczna w 1 odsłonie M. Gawalewicza. K: 3 — M: 4.
- Nr. 92. **Po drodze**, Humoreska sceniczna w 1 akcie M. Gawalewicza. K: 1 — M: 5.
- Nr. 93. **Bibiński**, kom. w 1 akcie M. Gawalewicza. K: 1 — M: 5.
- Nr. 94. **W porę**, kom. Z. Przybylskiego. K: 3 — M: 3.
- Nr. 95. **W zielonym gajku**, komedia w 1 akcie Z. Przybylskiego.
K: 2 — M: 2.
- Nr. 96. **Perła**, obr. dram. wiersz. M. Gawalewicza. K: 3 — M: 8.
- Nr. 97. **Komedia w komedji**, kom. w 1 akcie W. Grot-Bęczkowskiej.
K: 5 — M: 6.
- Nr. 98. **Banasiowa**, obr. scen. w 1 ak. Z. Przybylskiego. K: 3 — M: 1.

Cena każdego tomiku 30 kop.